Rzymowski Niemcy a Francya

Wincenty Rzymowski.

NIEMCY A KOALICJA.

WARSZAWA 1916.
Skład główny E. Wende i Sp.

W. RZYMOWSKI.

NIEMCY A KOALICJA.

WARSZAWA 1916.
Skład główny E. Wende i Sp.

Geprüft und freigegeben durch die Kais. Deutsche Presseabteilung Warschau den 17/VI 1916.

DRUK W. PIEKARNIAKA, WARSZAWA, OKÓLNIK 5a (ZA CYRKIEM).

NIEMCY A KOALICJA

Odczyt wygłoszony dnia 5-go Czerwca 1916-go roku
w Warszawie w Sali Stowarzyszenia Techników.

Szanowne Panie i Szanowni Panowie!

Nie przychodzę tu po to, aby nastręczać komukolwiek swe przekonania, swe sympatje i nienawiści. Nie występuję ani z systemem politycznym, ani z politycznym wskazaniem. Zabieram głos, aby podzielić się ze słuchaczami zasobem wrażeń, przeżyć osobistych, odczuć i przemyśleń, nagromadzonych i zebranych przezemnie z wyjątkowego pola obserwacji, które dla badawczego oka jest polem niesłychanie wydajnym, bo jest polem niedoli: z obozu jeńców wojennych. Spostrzeżenia moje wszystkie dotyczą wojny, ociekają krwią wojny, ale pochodzą z poza niej, pochodzą, rzecby można, z przeciwległego jej bieguna. Jeżeli bowiem linję frontów, na których zmagają się siły orężne, nazwiemy jednym biegunem wojny, to jej biegunem odwrotnym nazwać wypadnie właśnie — obozy jeńców. Jeżeli pierwszym planem wojny jest pobojowisko, to obóz jeńców jest jej planem ostatnim. Poza tym planem ostatnim, rozpościera się już tylko plan ostateczny — cmentarzysko poległych. Między tymi dwoma biegunami kipi fala wojny. Poczynając od frontu działań wojennych, poprzez wtóre i trzecie linje utwierdzeń, poprzez tabory i tyły wojsk ku głębiom kraju, poczynając od ognia pocisków, poprzez fabryki broni i składy amunicji, aż ku kopalniom kruszców i zagłębiom węglowym, poczynając od piekarń polowych, poprzez warsztaty i rzemio-

sła, aż ku polnej na zagonie pracy: wszystko tętni i huczy dla wojny. Ale obóz jeńców jest miejscem spoczynku, na którym wojna przychodzi konać, jak morze wyrzucające rozbitków. Ci, którzy go zamieszkują, znaleźli się już po tamtej stronie wojny. Są pierwszymi uczestnikami pokoju. Są tymi, którzy już pokój faktycznie zawarli. Ich ręce, wolne od karabinów i szabel, szukają młota i pługa. Obozy jeńców są osadem, gromadzonym przez powódź wojenną, ale w sobie niosą przedsmak pokoju i szaloną za pokojem tęsknotę. Do obszaru cierpień, powodowanych przez wojnę, dołączają ten nowy za pokojem argument: obszar spowodowanej przez wojnę bezczynności, bezczynności tych kroci rąk roboczych, które zostają w niewoli wojennej uwięzione.

Bo przedewszystkim ten świat niewoli, świat jeńców wojennych, narzuca się uwadze swoją imponującą liczebnością. Koalicja, która dokliwe ponieść musiała ofiary w zabitych, przerażające złożyła hekatomby w zastępach jeńców. Wedle statystyki, która wciąż sumuje nowe pozycje, istnieje w Niemczech z górą półtorasta obozów jeńców, z których każdy liczy ponad półtora dziesiątka tysięcy żołnierzy. Składają się one na swoisty, szczególny w swej postaci, miljonogłowy świat od wszystkich innych światów odcięty, a zawierający w sobie próby i okazy ludzkie ze wszystkich punktów ziemi. I dlatego jest on tak niezmiernie ciekawy dla każdego, kto posiada dla natury ludzkiej i dla charakterów ludzkich choć odrobinę zainteresowania. Powstał on niespełna przed dwoma laty, lada miesiąc ulec może rozproszeniu, i nigdy więcej w swej mozajkowej, bajecznej, jak wieża Babel legendowej, architekturze nie odżyje. Nie tylko dla polityka, ale dla psychologa i artysty, etnografa i socjologa jakież niewiarogodne żniwo i jakże jedyne w swym rodzaju plony!

Materjał, jaki dojrzewa tam, wyłoni się na użytek wiedzy i sztuki z czasem na kartach pamiętników, które z pewnością

w piśmiennictwie przyszłym utworzą osobną, bogatą książnicę, pod nazwą „literatury jeńców". Nim jednak ów materjał przetrawi się dla nauki, nim się skrystalizuje dla sztuki, postanowiłem maleńki okruch jego w świeżym i surowym stanie przedstawić rodakom, tak jak się on w oczach moich odbił, przedstawić tym skwapliwiej, że w owym materjale tkwi również zawarta cząstka naszej polskiej rzeczywistości, jakże smutna, a jakże dla naszego losu charakterystyczna!

Przeszedłszy skroś gorycz i smutek tego swoistego ułamka doli polskiej, ze wspólności doświadczeń, którymi wrażenia swoje okupiłem, czerpię swe prawo moralne do głosu, jaki w tej sprawie zabieram.

* * *

Żadna stolica europejska nie może się poszczycić taką rozmaitością narodów, plemion, ras, odmian ludzkich, jak pierwszy lepszy w Niemczech obóz jeńców. Rosjanin obok Anglika, Kanadyjczyk obok Tunguza, Australczyk, Francuz, Arab, Irlandczyk obok Murzyna, Tatar, Litwin, Polak, Żyd, Rusin, Marokańczyk: wszystkie barwy skóry, wszystkie stopnie cywilizacji, wszystkie szerokości geograficzne, wszystkie religje ziemi, objęte jednym rygorem, dają sobie w niewoli niemieckiej spotkanie. Dopiero w obozie jeńców się widzi plastycznie z kim państwa centralne wojnę toczą: z całym światem. Dopiero tam się widzi potęgę Koalicji — odbitą w potędze jej rozgromu. Tam się widzi jakim nieprzeliczonym korowodem plemion i ludów wybuchnął przeciwko Europie Środkowej wulkan anglorosyjski, rozkołysawszy swoje morza i lądy.

Pierwsze miejsce w galerji typów obozowych należy się ze wszech miar Anglikom. Z pierwszego rzutu oka poznaje się w nich oporę i sprężynę Koalicji. Nieliczni, jeśli chodzi o rodowitych synów Albionu, wyniośli, zwarci we własnym ojczystym kole, uosabiają jedno z najrzadszych w człowieku zna-

mion: doskonały i wytrawny egoizm. Nie chcę przez to powiedzieć, że inne narodowości są wolne od egoizmu, lub mają go mniej od Anglików. Niemniejszym egoistą jest w obozie jeńców Francuz; ale Anglik obdarzony jest egoizmem osobnym. Powstał on i wyhodował się na tle ras niższych, które Anglja podbiła lub zhołdowała. Dzięki temu Anglik w każdym ruchu i kroku jest mężem, który uważa się za przełożonego. Nosi w sobie przyrodzone poczucie starszeństwa, gdziekolwiek się znajdzie. Nie tai przywilejów, z których korzysta. Sięga po nic tak, jak po rzecz należną. Widać, że władza nie była dlań alkoholem, który go pozbawia przytomności, ale chlebem powszednim, codzienną potrawą życia.

Wszystkie postaci ukochania stały się dla Anglika postaciami obrachunku. Przedewszystkim patrjotyzm. Patrjotyzm angielski polega na krańcowo ściśle zrównoważonej wymianie usług między obywatelem a państwem. Wojna obecna dla Anglika nie jest świętą sprawą, w której krew własną przelewa się ku obronie jej bezpieczeństwa i wielkości. Wojna jest w oczach jego przedsiębiorstwem, w które zaangażowało się państwo. Przedsiębiorstwem nie gorszym, ani lepszym od wielu innych przedsiębiorstw przemysłowych. Lepszym o tyle, o ile się finansowo opłaci. Gdyby przekopanie tunelu z Europy do Ameryki rokowało większe zyski od wojny, to zamiast organizowania trustu wojennego, Anglja zorganizowałaby syndykat tunelowy. To, że wojna pociąga za sobą ofiary z życia i zdrowia ludzkiego, nie dyskwalifikuje jej przemysłowo: wszak każda gałąź przemysłu wymaga ofiar. Ileż ich pochłania takie np. górnictwo! Chodzi o to, by liczbę własnych ofiar zredukować, by pierwszeństwa śmierci ustąpić innym. I Anglik szczodrobliwie odstępuje pola śmierci wszystkim innym partnerom wojny. Wszyscy członkowie Koalicji, walcząc przeciwko Dwuprzymierzu, pootwierali sobie żyły. Anglja dotychczas otwierała tylko portmonetkę.

Dla każdego żołnierza fakt dostania się do niewoli jest katastrofą psychiczną. Nagłe przejście ze stanu zbrojnego, ze stanu posiadania śmierć siejącej potęgi, w stan bezradnej ofiary, do cudzego oręża przykutej, wstrząsa najwytrwalszą duszą. Ale dla Anglika wpadnięcie w niewolę jest tylko rozwojem zdarzeń. Gdy ruszał on na wojnę, zaciągając się do szeregu, zawarł był z ojczyzną swą kontrakt, w którym przewidziane są wszelkie możliwości losu pod właściwymi paragrafami. Gdy go zagarnęła niewola, wchodzi w życie określony paragraf kontraktu, tak jak inny znów paragraf działaćby począł na wypadek poniesionego przezeń kalectwa lub śmierci, zabezpieczając byt rodziny poległego. To też Anglik zjawia się do obozu jeńców, jak na posadę; nie można powiedzieć, że on w niewoli cierpi, albo wogóle niewolę znosi; rzecby się niemal chciało, że Anglik niewolę załatwia, tak jak się załatwia wszelki inny business. Ojczyzna zaopatruje go we wszystkie rzeczy niezbędne, zaopatruje go suto i wiernie. Otrzymuje on pensję miesięczną na wydatki bieżące, otrzymuje prowizję, odzież i artykuły mody. Wszystkiego ma poddostatkiem. Pewnych rzeczy ma nadmiar. Te odprzedaje swym towarzyszom niewoli, po cenach stałych, tak jak w magazynie londyńskim. Spocząwszy na dnie bezradności, wyrwany z kurzawy boju, znalazłszy się we władzy potężnego wroga, nie przestaje Anglik ani na chwilę czuć na sobie opieki ojczyźnianej. Czuje, że posiada ojczyznę.

Niemniej czułą jest otoczony opieką swej ojczyzny Francuz. Ta opieka jest bardziej drobiazgowa, ale mniej skuteczna. Odpowiada ona różnicą swą tej różnicy, jaka zachodzi w charakterach egoizmu Anglika i Francuza. Egoizm angielski organizuje władzę i panowanie, egoizm francuski organizuje komfort i wygodę. W oczach Anglika odbijają się horyzonty dalekich mórz i dzikich stepów, które zbrodził, w oczach Francuza odbija się już tylko obracana na rożnie pieczeń.

Francuz nie dba już o cały świat, bo potrzebny jest mu tylko własny, mały przy kominku kątek. Nic wymowniejszego, niż te drobne zacisza wygody i zamożności, jakie wiją sobie na twardym podłożu niewoli jeńcy francuscy. Jeniec Francuz potrafi miesiącami gromadzić źdźbła słomy, piór, lub włosia, by usłać dla swej głowy cokolwiek miększą poduszkę. Miesiącacami potrafi ciułać zapasy w swej spiżarni, aby na nowy Rok, lub na Wielkanoc wystąpić z ucztą dla swych ostatnich bogów: podniebienia i żołądka.

Nie znaczy to, aby Francuz w niewoli stawał się obcy zagadnieniom duchowym. On tylko ze wszystkimi zagadnieniami obcuje poprzez organ smakoszostwa. Miłość, literatura, sztuka, polityka, naród, historja — wszystko jest oceniane przezeń ze stanowiska dosytu, wygody, rozkoszy i użycia. Niebezpieczeństwo i ryzyko są z jego budżetu życia wykreślone, usunięte w dziedzinę sportu i gry towarzyskiej. Niema rzeczy, którejby Francuz nie poświęcił dla spokoju użycia. W obozie jeńców poświęca on nawet sakramentalną ideę r e v a n c h e'u. Gdy w prasie paryskiej ustawicznie rozlega się hasło odboju Alzacji i Lotaryngji, pośród jeńców budzi ono wzruszenie ramion. „Myśmy się tego odboju już dawno zrzekli“,—tłumaczył mi w przystępie szczerości Francuz patrjota; — „o r e v a n c h e'u na serjo nigdyśmy nie myśleli, była to idea literacka; pragnęliśmy pokoju i tylko pokoju; Niemcy jednakże, aby zepsuć sąsiedzkie stosunki, pomawiali nas o chęć odzyskania utraconych prowincji; oni narzucali Francji myśl odwetu, aby stworzyć powód do wojny“. W tym rozumowaniu, jak w zwierciadle, przegląda się drobna i opiłowana dusza francuskiego „bourgeois“: krzywda własnej ojczyzny stała się w jego duszy bladym cieniem, fikcją literacką: co dziwniejsza—jej poczucie we własnym przekonaniu poczęto przypisywać intrydze i oddziaływaniu wroga.

Nie ulega wątpliwości: Francuz już przed wojną czuł się znużony wielkomocarstwową polityką swego państwa, do której jeszcze kieszeń jego dorastała, ale nie dorastało już ramię, ani dusza. Po r. 1870 rzucił on groźbę revanche'u, bo to odpowiadało honorowi domu, ale właśnie rzucił ją dla honoru, nie zaś dla tego, by się istotnie bić z Niemcami o Metz i Strassburg.

Gdy Francuz tak niewiele dbał o bliską Alzację, ileż mógł poświęcić uwagi dalekiej Polsce? Tyle tylko, na ile pozwalał sojusz trzeciej Republiki z Rosją. Francuz nic nie chce wiedzieć o narodowych ideałach Polaków; on przypomina o jednym: o przysiędze przez ludność Królestwa Polskiego złożonej Mikołajowi II. Ta przysięga w oczach Francuza stanowić ma o naszej postawie w wojnie europejskiej. Dawne zatargi z Rosją powinnyby nas skłonić do tym żarliwszego ich odkupienia. Francja też dawniej walczyła z Moskwą, a teraz się z nią pojednała. Gdy Francja w imię cywilizacji złożyła w ofierze swoje uprzedzenia, Polsce nie wolno mącić harmonji wypominaniem swoich wobec Rosji krzywd i porachunków. Żądanie niepodległości w obecnej chwili wydaje się Francuzowi ze strony Polaków złośliwą małostkowością. „Czyż nie widzicie — pytał mnie pewien jeniec francuski — że niepodległość wasza zwróciłaby się ostrzem przeciwko Rosji? Że byłaby zdradą Francji, tej wielkiej i szlachetnej Francji, dla której wszystkie narody czuć winny nieprzedawnione zobowiązania długu i wdzięczności? Gdy Rosja jest w śmiertelnej walce o wolność i kulturę Europy, stojąc przy boku Francji, wy — Polacy — zwracając się przeciw niej, organizując przeciw niej Legjony, dopuszczacie się czynu nierycerskiego, jak ów, który napada z tyłu i który przeciwnika powalić chce skrytobójczym ciosem w plecy!" Wszelka ze strony Francuza chęć wejścia w nasze położenie dzisiejsze kończy się dla Polaka jedną tylko rzeczą: zniewagą i cynizmem, które palą wszelkie między nimi mosty porozumienia. Widmo Polski jest dla Francuza wid-

mem zakłócającym spokój aliansu z Rosją; na wszystkie nasze żądania, przedstawienia sprawy, pragnienia i bóle, odpowiada on udzieleniem adresu... wspaniałomyślności rosyjskiej, do której nas odsyła, jak do cudownego lekarza, który ma nasze rany zagoić. Francuz dzisiejszy, zwłaszcza Francuz pomniejszony niewolą w obozie jeńców, jest tak mały, że żadna z idei polskich pomieścić się w nim nie może. W jego oczach i w jego głowie wszystko się kurczy i karleje. Nasze Legjony, które krwią swoją wskrzesiły chwałę polskiego żołnierza, są dla Francuza kondotjerami Dwuprzymierza. Nasza nienawiść ku Rosji jest dla Francuza towarem, wystawianym na sprzedaż w Europie zachodniej. Nasza wreszcie pierś z całym bezmiarem swych ukochań i swej męki jest dla Francuza tylko jaskinią płatnych uczuć, tylko targowiskiem handlu, gdzie idea niepodległości ma swą cenę, i Biały Orzeł ma swą cenę, i święto 3-go Maja, i nadzieja, i pamięć i tęsknota, wszystko jest do nabycia i wszystko jest do sprzedania. To też, gdy rozmowa z Anglikiem swoim stalowym chłodem budzi w Polaku otrzeźwienie i zmysł dla groźnej rzeczywistości, oploty ciepłej frazeologji francuskiej powodują wrażenie wstrętu, z którego otrząsać się trzeba jak z uścisku plugawej sieci owada.

*
* *

Niezależnie jednak od swoich wad i zalet, Anglicy i Francuzi pospołu wzięci, stanowią śród obozu jeńców wojennych — niezaprzeczoną arystokrację, dzięki swemu stanowisku materjalnemu i kulturze. Ściślej biorąc, stanowią tam burżuazję, poniżej której rozpościera się, jak w rzeczywistym społeczeństwie, proletarjat — zbiorowisko ciemnoty, ubóstwa i goryczy. Anglicy i Francuzi, skazani na niewolę, nietylko dobrze się odżywiają i dobrze są odziani, ale w każdą niedzielę i święto chodzą do zaimprowizowanego przez siebie teatru, gdzie słuchają wesołych komedji, i patrząc na wesołe karykatury, bawią się, ule-

gają czarowi rodzimego dowcipu, wywołują duszę bulwarów paryskich, płyną z falami muzyki ku dalekiej ojczyźnie, odwiedzają w marzeniu wnętrza swoich domostw, korzystają z kapitału swej kultury, i — jak wogóle kapitaliści — wychodzą obronną ręką z takiego położenia, które dla innych bywa położeniem bez wyjścia.

Ci inni to — przedewszystkim — Rosjanie, nieprzeliczone zastępy jeńców rosyjskich, ślepe okruchy owego parowego walca, który się roztrzaskał o przełęcze i grzbiety karpackie, i odruzgami swej klęski zasiał całą równinę od Dunajca do Bugu i Narwi. Rosjanin w obozie jeńców to—urodzony proletarjusz, nędzarz, który z natury i z nałogu staje w pokornej postawie sługi wobec wszelkiej władzy i wszelkiego dostatku. To nie jest jeszcze proletarjusz zbuntowany, gniewny poczuciem krzywdy, dumny z ubóstwa, odpychający bogactwo jak słabość, a zaszczyt jako cacko. Rosjanin w niewoli niemieckiej, zetknąwszy się z zachodnim swoim sprzymierzeńcem, Anglikiem lub Francuzem, instynktownie przywitał w nich swoich panów: Francuz lub Anglik to jest przedewszystkim dla Moskala „barin". Gdy Francuz spożywa swe obfite zapasy i przysmaki, tydzień w tydzień, w ozdobnych puszkach nadchodzące z Paryża i Londynu, Moskal stoi za jego ławą z tym uniżonym pochyleniem karku, który jest wiekuistą cechą dziedzicznego niewolnictwa. Widać, że do niewoli niemieckiej przybył już jako uprzedni niewolnik. Stan niewoli w życie Moskala nie wnosi żadnych przełomów moralnych, i sprowadza się tylko do różnicy systemu. Dzięki temu Moskal — i tylko on śród wszystkich sam jeden — nie czuje się wzięciem do niewoli upokorzony. Jego kark nie został ugięty, bo był już przedtym złamany. Przekraczając próg niewoli, jeniec rosyjski pyta o jedno: czy zupa obozowa bywa dostatecznie obfita. Przytym nie dba o to, jaka ona będzie; pyta tylko: ile? Za dodatkową miskę zupy gotów oddać najtęższą

fortecę. Miałem możność obcowania z obrońcami Modlina, Brześcia Litewskiego, Grodna, Osowca. I ze wszystkich stron brzmiał jeden wielki chór: beznadziejność obrony i chęć odpoczynku w niewoli.

* * *

W stosunku do psychiki Rosjanina nasuwa się każdemu nieodparte pytanie, pytanie, które na losach przyszłej Europy zaciąży strasznym ciężarem: jakim wyjdzie Rosjanin z wojny? Czy jego psychika zostanie w wojnie przekształcona, i w jakim stopniu, i w jakim kierunku? Mnie ciekawiło zwłaszcza pytanie, jakim wróci Rosjanin do swego kraju z niewoli, wobec olbrzymiej liczby jej uczestników. Czy poniesie on w głąb Rosji odrodzeńczy ferment, czy niszczycielski chaos, lub może rozpalony fanatyzm? Nie trzeba lekceważyć bowiem tej wielkiej szkoły, jaką jest szkoła wojny. Zwłaszcza wojna tak wielka i powszechna, jak obecna, wryje się głębokimi karbami w duszę ludów. Czym zapisze się ona w duszy jeńca rosyjskiego?

Przedewszystkim — uzmysłowionym poczuciem jego własnej nędzy. W obliczu świata zachodniego ujrzał się on nagim i ślepym, ofiarą swojego własnego mocarstwa, pastwą swojego własnego oficera, padliną szrapneli i granatów, bezwładnym cielskiem olbrzyma, który tak tylko bronić się potrafi, jak broni się ziemia przed pługiem, oporem skiby krajanej za skibą. Rosjanin już poczyna w niewoli rozumować, ale, ponieważ jest człowiekiem ślepym, więc rozumuje poomacku. Widząc dostatek swoich aliantów zachodnich, którym ojczyzna osładza niewolę swą ustawiczną o nich pamięcią, Rosjanin od własnego rządu poniechany, własnemu zostawiony losowi, poczyna nienawidzić Anglika i pałać zemstą ku Francuzowi, tak, jak tylko nędzarz może nienawidzić bogatego krewnego, który się odeń odwraca.

Moskal nienawidzi Francuza za każdy kęs pasztetu, za każdy funt czekolady, który tenże na jego oczach spożywa. Nienawidzi go za wytworność ruchów i za wdzięk postaci. Nienawidzi go za jego Paryż, za jego rozkosznictwo, za jego humor i sławę, i za jego Napoleona, który napawał się gruzami Moskwy. Chciałbym przytoczyć kilka z owych lapidarnych, cyklopowych powiedzeń, którymi Rosjanin pieczętuje, niby sygnetem rodowym, stosunek swój do zachodnich aljantów: niestety, przesuwając je w pamięci, widzę, iż z żadnego nie mogę skorzystać: wszystkie są nieparlamentarne. Za kwiat wykwintu może posłużyć zdanie, w jakim Rosjanin pewien ujął sąd o kapitulacji Anglików w Kut-el-Amara: „Chociaż to i wstyd, jednak dobrze im tak nicponiom!"

Nienawiść, gromadząca się w duszy Rosjanina z zawodów wojny, urazy żywione karmią odwiecznej losowej poniewierki, wylewają się tedy pod adresem najbliższych przedmiotów, nie sięgają poza koło bezpośredniego widzenia: ale czy na nim poprzestaną? Czy nie postarają się dotrzeć do gniazda właściwego sprawcy niedoli rosyjskiej, czy sięgną do gniazda caratu? Czy z chaosu ślepych dzisiaj uraz w duszy rosyjskiej wyłoni się nowy wielki budowniczy świata? Słowem, czy żywioł negacji w ogniu klęsk przetopi się na żywioł twórczości i odrodzenia? Niema w zasadzie danych, któreby temu przeczyły. Trzeba jednak dodać, iż niema również poszlak, któreby to stwierdzały. Dusza Rosjanina od młota wojny doznała potężnego wstrząśnienia; ale czy pod jej ciosem wybuchnie tak, jak wybucha ziarno nowym życiem kiełkujące, czy jak śmiercionośny pocisk? — pozostaje zagadką.

W literaturze politycznej dużo się mówi dziś o przyszłym ustroju Koalicji. Mówi się o tym, że krew wspólnie przelewana scementuje państwa, wojujące przeciw mocarstwom środkowym, w jeden blok ścisły militarno-ekonomiczny. Na tym przekonaniu opiera się słynna antyteza Naumanna, przeciwsta-

wiająca w wyniku wojny świat anglo-rosyjski światu Europy Środkowej, jako dwa wrogie sobie obozy zbrojne. Obecne linje okopów—w świetle tej prognozy—tężeją jako stałe granice przyszłych sojuszów i konstelacji politycznych. Obozy jeńców tym dla obserwatora są cenne, iż nie zamykając go na pograniczu obu bloków, pozwalają mu wejrzeć do środka elementów koalicyjnych i pochwycić pewne takie tajemnice ich budowy, które na jaw wychodzą dopiero z jej gruzów. Póki dom stoi, trudno odgadnąć rys jego słabości, choć może jutro runąć; ale, gdy już runie na jedną stronę, wszyscy widzą w którym boku taiła się katastrofa. Obozy jeńców, oglądane przezemnie, napełnione jakby gruzami wojny, gruzami Koalicji, obnażają niejako to siedlisko słabości, które niewidoczne i skryte jest dla oka w budowlach spoistych; wskazują poniekąd, na który bok państwa koalicyjne utknęły, z której zawaliły się strony. Owóż ten bok słabości odgadywany z produktów rozkładu, ze szczególną rysuje się wyrazistością w zespole jeńców imperjum Wielkobrytańskiego, oraz imperjum Rosyjskiego. Rzekłbyś: wojna rozpłatała brzuchy obu tych olbrzymów i wyjawiła sekret niemocy, która ich żarła od wewnątrz: sekret niestrawności. Jakkolwiek heroiczny był żołądek Rosji, jakkolwiek zachłanne były objęcia Anglji, zawartość tego żołądka i tych objęć przerastała możność przetrawienia łupu.

Gdy się ogląda tych mieszkańców ciepłych krajów, których Anglja zmobilizowała na wojnę, tych obywateli Pendżabu i Polinezji, albo tych dziedziców puszcz afrykańskich, którzy w ojczyźnie swej nie mają prawa wstępu ani do 1-ej ani do 2-ej klasy na kolejach, bo te zastrzeżone są wyłącznie dla „białych“ władców, a którym nagle przylepiono etykietę braterstwa w walce przeciwko nieznanemu wrogowi, w walce o ideały „równości i sprawiediwości“, gdy się ogląda tych najmitów Anglji, widać, jak mało węzłów serdecznych, jak mało

węzłów interesu, jak mało nici zaufania łączy ich z historjozofją Chamberlaine'a lub polityką Asquith'a i Grey'a. Poprzez obcość wojny, do której ich skaptowano, lub do której ich zapędzono, odczuli oni obcość Anglji. Co więcej, odczuwać zaczęli nienormalność swego poddaństwa i nienormalność jej rządów.

Oto w pewnym obozie garść Hindusów: marzą o powrocie nad Ganges i złorzeczą swemu udziałowi w wojnie; oto gromada murzynów francuskich z Senegalu: trzęsą się z zimna, jakkolwiek dniem i nocą cisną się do pieca, — widać, że nie mają już ani jednej kropli krwi do poświęcenia Koalicji; napróżno otaczający ich Francuzi podniecają ich entuzjazm, prezentując ich w mej obecności, jako żarliwych patrjotów francuskich. „Żarliwi patrjoci francuscy" milczą zawzięcie, śniąc zapewne o swych palmowyh gajach, których orzechy kokosowe mają dla nich większy urok, niż kokosowe mowy Brianda. Byli to, — ci milczący murzyni, — najrzetelniejszymi obrońcami kultury, jakich śród obozu Koalicji spotkałem. Mimo woli i wiedzy, milczeniem swoim złożyli świadectwo niesłychanie głębokiej prawdzie, że: kultura istotna rozpoczyna się dopiero tam, gdzie się o niej mówić przestaje.

Gdy Anglja swych wasalów zwerbowała na wojnę za pomocą szylinga, Rosja pędzi „inorodców" swoich tańszym kosztem, za pomocą nahajki. Łotysze i Litwini, Gruzini i Rumuni besarabscy, Tatarzy i Mongołowie Sybiru, przekonali się poprzez wojnę, że być poddanym państwa Rosyjskiego, to znaczy właśnie być jego ofiarą. Równie jak Anglicy swym żółtym i czarnym hołdownikom, tak samo Rosjanie swym ujarzmionym obcoplemieńcom wystawiają szczodre manifesty braterstwa broni i losu. Ale, gdy nam Polakom, uprzywilejowanym swego gwałtu ofiarom, Rosja wypisała etykietę braterstwa w słynnym manifeście Mikołaja Mikołajowicza, pozostałym ofiarom przemocy, których sadyby i ziemie dotąd jeszcze gnębi, wypisuje dzisiaj tęż samą etykietę na plecach ogniem

karabinów maszynowych, gdy... nie chcą iść do ataku. Nic pospolitszego w obozie jeńców, niż widok żołnierzy, utrzymujących, iż oddali się do niewoli niemieckiej, aby nie zginąć od artylerji rosyjskiej.

My, Polacy, wiemy czym stał się manifest Mikołajowski: zwitkiem papieru, którym podpalono w Polsce pół tysiąca wsi, z taką swobodą i fantazją, z jaką podczas boju generał nie zapala nawet cygara. Ale wiedzmy-ż ponadto, że to samo państwo Rosyjskie, które spaliło za sobą własnoręcznie mosty powrotu do Polski, ryje dziś krwawą przepaść między sobą a ogółem ujarzmionych ludów.

To też wbrew setce zawodów i niespodzianek, jakie zgotowała nam wojna, ja, osobiście, z całego jej przebiegu wyniosłem jedno przeświadczenie nietknięte od początku, przeświadczenie owszem w obozie jeńców wzmocnione nowymi dowodami, mianowicie, że: Rosja jako mocarstwo, całkowicie dojrzała jest do rozbiorów. Tę myśl, przed wojną już, pielęgnowałem, jako posłanniczkę naszej przyszłości, i szerzyłem w prasie galicyjskiej. Teraz miałem możność stwierdzenia, że to, co było przewidywaniem, obleka się w rzeczywistość. Państwo Rosyjskie nie miało w sobie żadnej innej więzi poza więzią biurokracji. Trzymało się nie klejem wewnętrznym, z soków życia złożonym, ale żelazną obręczą, która je ściskała od zewnątrz. Stąd to spoistość i sama nawet egzystencja Rosji nie dawała się pomyśleć bez istnienia ucisku. Zdjęcie obręczy znaczyłoby rozproszenie żywiołów składowych. Jeden ze znawców Rosji scharakteryzował ją jako system, w którym jedna część ludności trzyma drugą część ludności pod strażą, czyli że w Rosji można być albo więźniem albo stróżem więziennym. „Tertium non datur". Tak jest, istotnie. Wszelaka stąd wyrasta bezpośredni wniosek: oto, od Rosji, na jej zachodniej krawędzi, można odkrajać kilkadziesiąt miljonów ludności w najgłębszym spokoju co do tego, że ani jeden mąż z owych miljonów pal-

cem nie skinie, aby pod berło carów wrócić. Ten olbrzymi płat ziem, niegdyś na Rzeczypospolitej Polskiej złupiony, skoro raz zostanie oderwany od Rosji, nie wyda ze siebie „irredenty“, nie wyhoduje nawrotu strumieni słowiańskich do rosyjskiego morza.

Gdy żelazna obręcz caratu pękła pod ciosem Dwuprzymierza nad Dunajcem, roku zeszłego, Rosja legła na pobojowisku, jak snop rozsypany. I biurokracja rosyjska może sobie dziś poruszać wszystkie swoje środki i sposoby: może raz jeszcze zainscenizować pogrom żydów, może zamówić cud u ojca Heljodora, może rozpętać fanatyzm prawosławia, może rozpędzić Dumę, wszystkie te zabiegi pozostaną bezskuteczne. Z chwilą pęknięcia związującej zewnętrznej obręczy, mechanizm rozluźnił się na tyle, że już osie wyszły z obsad, a tryby w kole zębatym nie zahaczają o tryby. Poszczególne kółka mogą jeszcze wirować, ale każde dla siebie. Policja warszawska tak z dawnych czasów nam pamiętna, jak słychać, udała się na wschód, aby objąć w posiadanie księstwo Trebizondy. Oto jedyny „plus“ w gospodarce biurokracji rosyjskiej. Ponieważ policja moskiewska równie obco się czuła w Warszawie, jak dziś obco czuć się musi w Trebizondzie, przeto ma prawo moralne powiedzieć także naodwrót, iż w Trebizondzie równie swojsko się czuje, jak w Warszawie.

* * *

Wszelako w owym przewidywanym, w owym wymarzonym obrazie zdruzgotanej potęgi, jest dla Polaka coś, co go rani i przejmuje troską. Dola jeńców-Polaków, którzy pod sztandary rosyjskie powleczeni, dzieląc wojnę, z kolei podzielić musieli niewolę. Cokolwiek może człowieka odepchnąć od człowieka, cokolwiek może ich odrzucić na dwa przeciwległe bieguny, to wszystko stanęło i nieubłagane rozkrzyżowało ramiona w tej wojnie między Polakiem a Moskalem. Stanęła mię-

dzy nimi historja, stanęły imiona największe i najświętsze w religji polskiego męczeństwa, krew i łzy Chełmszczyzny, świeża pogorzel Galicji i dymiące popioły Królestwa: gdy chłop z Podlasia, zwiedziony chwilowym kłamstwem, jakoby ziemi rodzonej miał bronić, bił się nad Sanem i Bugiem, Moskal za jego plecami palił jego domostwo i uprowadzał zhańbione kobiety. Gdy pomyślimy, że tenże chłop, powiadomiony o prawdzie rzeczy, dźwiga dzisiaj wspólnictwo doli z Moskalem, snadnie wystawić sobie można tego wspólnictwa piekącą nieznośność. Gorzej, niż blizny ran, odniesionych w boju nie za swoją sprawę, gorzej niż tęsknota za krajem, piecze go ustawiczne obcowanie z Moskalem, w którym rozpoznał swego ciemięzcę, którego nienawidzi jak podpalacza, a nad którym litować się musi, jak nad nędzarzem. Litować się przekleństwem rozpaczy, a przeklinać — łzami...

Coby mu ulgę przynieść mogło niezawodnie, to wyodrębnienie z pośród ogółu jeńców państwa rosyjskiego i zjednoczenie w osobnych obozach, gdzieby Polacy, we własnym zamknięci środowisku, uwolniwszy się od jarzma rosyjskiego, uwolnili się nareszcie od rosyjskiego towarzystwa.

* * *

Skazany na rozłąkę z krajem, na niewolę, na surowy regulamin wyrzeczeń i samoograniczeń, na to wszystko co nęka i trawi, jeniec-Polak w obozie niemieckim najdotkliwiej znosi— bezczynność. Nie tę bezczynność, która jest założeniem rąk, bo na tę gospodarność i zabiegliwość niemiecka znajduję radę, otwierając przed każdym swe pracownie i warsztaty, ale te, która jest nieobecnością w wielkim dramacie zmagających się potęg świata. Jeniec-Polak w obozie niemieckim cierpi i za siebie i za swój kraj, za kraj, któremu wypadki nie dały możności dotychczas wzięcia takiego udziału w wojnie przeciwko Rosji, jaki i historja mu wyznacza i na jaki siły pozwalają. Wszak

ta wojna, którą Dwuprzymierze toczy przeciw Moskwie, jest także naszą 17-ą z kolei polską przeciw Moskwie wojną: ale jest naszą w stopniu bardzo nieznacznym, jest naszą tylko dzięki Legjonom Polskim, i na ich miarę, gdy tymczasem stać się powinna wojną na miarę całego narodu, na miarę królewską naszej krwi i naszej chwały. W narodzie, gdzie imię i grób Kościuszki, sam jeden, w ciągu stulecia, wart był snać tyle, co sto tysięcy żołnierza, bo stanowił jedyny nasz przeciw Rosji szaniec i — sam jeden — odpierał szalejącą od wschodu inwazję, ileżby zdziałać mógł żywy Kościuszkowski pośród armji sztandar, na Jasnej Górze rozwinięty!

Czymże jednak się dzieje, że jeniec-Polak w obozie niewoli niemieckiej, Polak, który myśli i czuje, mimo ten obszar troski, zawodu i smutku, jaki go łamie, pozostaje przecież niezłamany, i przezwyciężając swe cierpienia, ocala przedmiotowość sądu, czując niezależnie od uraz, rozumując niezależnie od uczuć i, patrząc na rzeczy, widzi je bez przywidzeń?

Czym się to dzieje, że Polak-jeniec, twardą osaczony rzeczywistością, nie odwraca od niej oczu z niechęcią i w nieuleczalny nie spowija się pesymizm, apostołujący już tylko — wiarę cierpiętnictwa? Coś takiego, widocznie, tkwi w tej rzeczywistości, co go dla niej zjednywa i podbija. Zawiera się w niej snadź jakaś cząstka budząca zainteresowanie, która go z resztą całości sprzymierza i—przedewszystkiem nakazuje dla siebie szacunek. Tym żywiołem jest świat niemieckiego wysiłku i pracy, który z posad wyważył dzieje Europy; który bramy pewnych możliwości w Europie na wieki zatrzasnął, a inne znowu przed nią bramy naoścież rozwarł i — tak rozwarte dla przyszłości — dzierży.

Wszelako świat niemieckiego wysiłku nie da się ująć sam w sobie. Nabiera on wymowy swoistej dopiero w zestawieniu z obozem Koalicji, którą powyżej w postaci rozkruszonych

drobin oglądaliśmy na tle obozu jeńców. Lecz prócz Koalicji, która broń złożyła, jest Koalicja, która walczy, — i o tej wojującej Koalicji teraz mówić mi wypadnie.

* * *

Zasadniczym od pierwszego wystrzału charakterem Koalicji było to, że — nie chciała wojny. Ona tylko — pożądała zwycięstw. Rozumie się, że dla każdego państwa wojna bywa środkiem dla osiągnięcia pewnego celu. Jednakże, kto chce celu, musi organizować środki. Tymczasem każdego z partnerów Koalicji charakteryzowało to, że ponad środkami każdy chciał przeskoczyć wprost do celu. I Anglja i Rosja, że na tych dwu naczelnych mocarstwach skupię uwagę, widziały z niezrównaną plastyką cele wojny: ileż poświęcono miejsca i czasu wyliczaniu zdobyczy, trofeów, laurów i — wyzwolonych ludów! Rosja, rzec można, ruszyła na wojnę marszem paradnym; nie! nie na wojnę, ruszyła na galowy obiad do Berlina, idąc na Prusy Wschodnie tak, jak wyrostek wiejski idzie do cudzego ogrodu na jabłka. Smakując owoce wojny, przed ich zerwaniem, rosyjska myśl polityczna od Milukowa do Plechanowa, i od Trubeckoja do Markowa pieściła się posiadaniem Konstantynopola, ćwiartowała monarchję Habsburską, jednoczyła Polskę, transformowała Cesarstwo Niemieckie, odbudowywała królestwo Czeskie, słowem potysiąckroć wysysała rozkosz z planowanych podbojów, ale nie czyniła nic, by organizować dla ich dokonania siłę. Galicja Wschodnia w pierwszej fazie wojny uległa Rosji, ale nie uległa jej sile, tylko jej ciężarowi. W takie same, jak Rosja, grzmiące fanfary tryumfu, dyskontowanego z góry, uderzyła Anglja: w dniu rozpoczęcia wojny zmobilizowała wszystkie swoje — nadzieje zwycięstwa, i te — przedewszystkiem — wysłała na plac boju do Francji: Rosji prócz powinszowań wysłała także — kapitały, degradując to państwo odrazu na stopień jakiegoś rzeźniczego skła-

du, w którym za funty sterlingów nabywa się żywe funty mięsa ludzkiego, po zniżonej cenie.

Bo to jest drugą, poza sprzedawaniem skóry żywego niedźwiedzia, cechą Koalicji, że w niej najcięższe zadania wojny — i wogóle zadania wojenne — odstępuje się sojusznikom. Każdy zosobna bierze udział w wojnie tylko o tyle, o ile ma nóż na gardle. Poza tym stoi z boku i oklaskuje waleczność sprzymierzeńca, pozostawiając mu niepodzielny zaszczyt rozprawy. Ta polityka sprawiła, że wojna, w swoim wyniku, zwaliła się najcięższym brzemieniem na karki drobnych państw, które, zufawszy Koalicji, rzuciły na szale wojny wszystko, całą swą ludność, całą swą ziemię i całą swą przyszłość. One i one jedne, krwawym swym mozołem wniosły wstrząsający tragizm w obóz Koalicji, która poza tym, w osobie swych naczelnych reżyserów potrafi nieustannie nad nieobjętymi polami swoich porażek i mogił rozpinać groteskowe malowidła operetki, coś w rodzaju swawoli paryskiej, igrającej nad kręgiem dantejskiego piekła.

Trzecim znamieniem Koalicji w jej rozwoju jest kult oręża bezczynności, jako oręża ofenzywy. Minął pierwszy rok wojny, dobiega kresu drugi rok wojny: Anglja nie zorganizowała dotąd powszechnej u siebie służby wojskowej. Ona czeka. Nie usiłuje przeciwnikowi broni z ręki wytrącić, ale czeka, aż broń sama z jego ręki wypadnie. Nie hoduje ona armji; ona hoduje przeciw państwom centralnym — głód. Podobnież Rosja, w roku zeszłym, nie mogąc tymże państwom przeciwstawić siły, postanowiła im przeciwstawić w Królestwie Polskim pustynię. Jest to metoda walki, wyłączająca pomysłowość, pracę, napięcie energji i twórczość, polegająca natomiast na redukcji życia, na jego wyjałowieniu, a więc na powrocie ku czasom pierwotnym, gdy wojna była tylko tępicielstwem. Stąd dalszy konsekwentny objaw pierwotności: lekceważenie

czasu. Człowiek pierwotny był przedewszystkim marnotrawcą czasu. Cywilizacja dopiero nauczyła nas liczyć się z każdą godziną, jak z rzeczą bezpowrotną i niecofnioną. Cywilizacja wpoiła w nas hasło, że czas to pieniądz. Podczas wojny należałoby dodać: pieniądz i krew. Jakże ze swej dojrzałości cywilizacyjnej zdaje egzamin wobec zasady powyższej Koalicja? Powszechnie się powtarza, że Koalicja kładzie nacisk na działanie czasu, że umiejętnie czas, jako swe narzędzie, wyzyskuje. Ależ, jakże to ona go wyzyskuje? Wszak posługuje się nim w ten sposób, że go bezowocnie i bezpowrotnie traci. Nie sięgajmy daleko, weźmy pierwszy z brzegu przykład, Uniwersytet polski, świeżo powstały w Warszawie, i spytajmy, czy każdy nowy miesiąc jego trwania i jego rozwoju, sprzyja Koalicji, czy jej plany krzyżuje? Sprzyja powrotowi Moskali, czy też mu zapobiega? Jest to mikroskopijna drobina w nawałnicy historycznej, wszelako, we wnętrzu tej drobiny czas pracujący, pracuje właśnie przeciwko tym, którzy nań rachują.

Lecz tędy to właśnie, po przez pojęcie czasu, przechodzi ów podstawowy granit kontrastu między Koalicją a Niemcami. Koalicja, nie stawiąca sobie żadnych terminów, mająca czas na wszystko, by nie przedsiębrać niczego, musiała w wyniku dojść do tej miary rozprzężenia energji, która graniczy z próżniactwem. Odkładając zasadniczy swój występ od jesieni ku wiośnie, i od wiosny ku nowej jesieni, Koalicja w dziedzinie inicjatywy i twórczości, próżnuje, wybiegami ratując się od zadań, jakie jej raz po raz stawią państwa środkowe. Inaczej Niemcy. Czując całą ważkość czasu, i zamykając wojnę w określonych terminach, odrazu powodzenie wojny zasadziły na napięciu energji, na organizowaniu dróg, środków i sposobów zwycięstwa. Gdy Koalicja napawała się zapachem rojonych wawrzynów, Niemcy z rozkoszą wciągnęły w rozszerzone nozdrza wicher rozpętanej siły swego narodu. Nie obejmo-

wały w posiadanie obcych stolic przed ich zajęciem, ale objęły w posiadanie wszystkie tętna swej potęgi, gotowej do najwyższych ofiar. Nie wschłuchiwały się w łopoty chorągiewek galowych, ale w szum i war swej krwi, pożądającej wybuchu i czynu. Gdy Koalicja na nadziei swoich zwycięstw zasnęła, jak na poduszce, by się po niewczasie zbudzić śród rumowiska klęski, Niemcy, wzniósłszy ramię do czynu, zerwały plon zwycięstwa, jakby mimochodem i ubocznie. Bo też Niemcy wyszłyby z wojny wzmożone i zespolone nawet wówczas, gdyby wojna nie przyniosła im tak stanowczych zwycięstw; Koalicja, gdyby nawet wygrała, wyszłaby z tej wojny zubożona i zdemoralizowana. Zwycięstwa udzieliłyby sankcji i rozgrzeszenia tym wszystkim zwyrodnieniom, które są jej klęską w tej wojnie, i były klęską Europy przed wojną. Niemcy wyszłyby nawet z pośród niepowodzeń z przyrostem siły wewnętrznej, jak węwnętrznie w niepowodzeniach urosły i zahartowały się Austro-Węgry. Niemcy idą ku zwycięstwu po przez własną ofiarę, poświęcenie i hart; Koalicja chciała zwyciężać spekulacją, terorem i marnotrawstwem. Zwycięstwo państw centralnych dźwiga Europę na wyższy poziom organizowania pracy i myśli; tryumf Koalicji byłby degradacją obu tych czynników, ich poniżeniem na rzecz bezwładu i nałogu, tych falsyfikatów potęgi.

* * *

Wypowiadając sąd obecny, stwierdzić muszę jego pochodzenie dawniejsze i jego niezmienioną od roku postać. Rok temu wypowiadałem go z całą swobodą, niestety bardzo szczupłą, na jaką wówczas zdobyć się mogła prasa polska w Warszawie. Dziś utrwalił się on we mnie dzięki zasobowi nowych wrażeń jeszcze mocniej, bo mocniej i wyraziściej przemawia dziś do mnie dobrodziejstwo, jakiego staliśmy się, wraz z całą kulturą europejską, uczestnikami dzięki rozgromowi państwa

Rosyjskiego. Rozgromowi, którego dokonały wraz z Austrją Niemcy, i którego poza nimi nikt inny w Europie dokonaćby nie potrafił. One tylko jedne, broń kując przez lat 40, kując ją twardym młotem, stworzyły w sobie tę siłę materjalną, by czynu takiego dokonać; i tę karność moralną, aby na podjęcie czynu takiego się ważyć. Ani emerytka dawnej sławy—Francja, ani daleka, bezorężna na lądzie, Anglja nie wykonałaby tej czarnej, przeraźliwej roboty, jaką było wyrugowanie potęgi moskiewskiej z polskiej ziemi, a rugowanie przeświadczenia o jej wszechmocy z polskiej psychiki. Nie zapominajmy, że jeszcze Mickiewicz, któremu chyba na odwadze nie zbywało, mając na myśli cara rosyjskiego, wyjęknął w rozpaczy: „Mocarzu! jak bóg silny, jak szatan złośliwy!" Tak! w walce z Rosją bywaliśmy stale przegrani, bo nie mogliśmy nigdy we własne uwierzyć zwycięstwo, bo Rosja była dla nas potęgą kosmiczną, była piątym żywiołem ziemi, którego nieprzepartą moc wieściły Polakowi mogiły całych pokoleń, wdeptanych w ziemię, tylko mogiły i pobojowiska klęski. W Rosji tonęliśmy, jak w morzu; Rosja była straszna dla nas swoją oceaniczną głębokością. Kto się oderwał od granic etnograficznych, ten przepadał dla polskości w jej falach; fale zaś owe podmywały grunt nasz coraz dalej, coraz szerzej, coraz natarczywiej. Coraz sroższymi ofiarami z ducha i ciała narodu wypadało okupywać elementarne i przyrodnicze jego trwanie w ludzkości.

Wróciwszy po kilkomiesięcznej nieobecności do kraju, rozejrzawszy się po obliczu Warszawy, dostrzegam nagromadzony w duszach osad rozgoryczeń i podrażnień, wywoływanych tym wszelkim złem, które niesie wojna, zadająca na prawo i na lewo dotkliwe, nieraz ślepe razy. Atoli, z poza chóru codziennych narzekań, mniejszych lub większych utyskiwań, z pociechą — aby nie rzec z radością — wyczułem ów niemilknący wielki ból, który jest bólem całego narodu, ból

zbawienny, ponieważ zawiera w sobie ognisko niewyczerpanych dążeń, źródło niewyczerpanej gotowości do ofiar, ból tęsknoty i bojowego żaru. Ten ból, obleczony majestatem całego stulecia poświęceń na ołtarzu ojczyzny, ból, który przez usta największego z wieszczów naszych wołał łaknieniem krwi moskiewskiej, który od Mickiewicza i Mochnackiego, aż do Wyspańskiego wołał o wielką wojnę, głosem odradzającego się ludu wołał o wielką wojnę narodów, w której ma Polska zmartwychwstać, ten ból góruje dziś w sercu Polaka, tłumiąc i pochłaniając w sobie wszystkie inne urazy i gorycze. Z niego rodzą się wszystkie pragnienia. On uśmierza wszystkie wątpliwości. Bo o jakąż to inną wojnę modliła się Polska żarliwym szeptem swych podziemi, jeśli nie o wojnę Niemiec i Austro-Węgier przeciwko Rosji? Tylko ta wojna, i tylko wojna dla tych obu państw zwycięska, powstrzymać zdolna była żołnierza rosyjskiego w jego pochodzie na Kraków, który był pochodem karnym przeciw sercu Polski, bijącemu w murach Wawelu.

Jeden z najwybitnieszych niemieckich mężów stanu wyraził się ostatnio w parlamencie Rzeszy Niemieckiej, z powodu przeciwstawiania wojnie — rewolucji społecznej: „Wojna jest **także** rewolucją“. Głęboka tego zdania treść wychodzi na jaw przedewszystkim w odniesieniu do sprawy polskiej. Wojna obecna, wojna niosąca klęskę Rosji, stała się rewolucją w dziedzinie stosunków, sprawy polskiej dotyczących. Rewolucją, bez której nasz powrót do bytu politycznego nie dałby się ani urzeczywistnić, ani pomyśleć. Ona dopiero wszystkim dała odczuć, jaki to głaz śmiertelny na grobie państwa Polskiego leżał, i kto u grobu tego cmentarną nad nim straż sprawował. Wszystkie te drogi śmierci naszej, drogi naszej narodowej i politycznej zagłady, która jeszcze półtora roku temu przepaścią u naszych stóp zionęła, są dziś, jak rzekłem, na zawsze zagrodzone; a zagrodzone zostały z chwilą, gdy pod ciosami Niemiec

i Austrji w proch legła zburzona budowa polityczna Europy Kongresu Wiedeńskiego.

Albowiem Kongres Wiedeński, który na lat 100 nakreślił mapę świata, był tym regulatorem, który spokój Europy oparł na grobie Polski, i—tylko poprzez jego ruinę, poprzez złamanie jego śmiertelnej dla nas równowagi, wyjść mogliśmy na światło Europy. W tej mapie świata, którą zostawił w puściźnie Kongres Wiedeński, nie było dla nas miejsca i — nigdyby się go nie znalazło. Puścizna ta, potrzykroć dla nas nieszczęsna, oplotła nas pleśnią tak, jak cmentarna darń oplata zapomnianą mogiłę. Niemcy, przeorawszy swym żelaznym pługiem całą Europę wszerz i wzdłuż, przeorali też wskroś dzieje całego stulecia i—prując jego tkaninę, spruli zarazem te sieci, któreby nas były zdusiły. Tego zapominać nie wolno, w imię doniosłości wielkich rzeczy, przed którymi ustępować powinno wszystko, co nie trzyma miary i wagi jednego przynajmniej stulecia.

Aczkolwiek los nasz będzie w części dziełem naszych własnych rąk, nie zakosztujemy prawdopodobnie w całej pełni w naszym już pokoleniu dobrodziejstw tej wojny, nawet przy najpomyślniejszym jej dla nas wyniku. Zbyt wiele kirów rozpostarło się po polach; zbyt wiele żałoby rozpostarło się po duszach, zbyt wiele ran będzie do leczenia. Ale nie wolno żałobą tymczasowego losu przesłaniać widoków lepszej doli, którą dzieciom i wnukom wywalczyć byśmy mogli i wywalczyć jesteśmy obowiązani. Nasz los jest ciężki. Ale ktokolwiek wyjrzał poza rogatki Warszawy i poza granice kraju, wie, że cała niemal Europa kąpie się w odmęcie krwi, łez i mozołu. Poci się krwawą męką wysiłku, ale się nie skarży.

Widziałem w Niemczech starca, którego czterej synowie polegli w boju na różnych frontach, a piąty—ostatni—poszedł z pustej już chaty na wojnę, jako dobrowolny ochotnik. Widywałem starca tego codzień o świcie, gdy wsparty o płot obozowy,

milcząc patrzył w daleką otchłań wschodu. Jakimż strasznym echem gadać musiały doń puste ściany rodzinnego domu, jakąż kamienną pustką musiały zionąć ku niemu, jeśli czarna, zimowa noc była dlań pocieszycielką! Przecież nie słyszałem z jego ust skargi lub wyrzutu. Niedola jego pozostała tajemnicą między nim a milczeniem nocy zawartą. Kto chce zrozumieć zgrozę wojny, niechaj przemyśli cierpienie jednej zdruzgotanej ofiary. Ale ofiary wojny liczą się na cyfry, od których krew zastyga. Niedawno w Berlinie otwierano schronisko dla 10 tysięcy inwalidów wojny. Jakąż hartowną duszę ma naród, który wytrzymuje widok takiego cierpienia, i który słowami swego poety, słowami Gerharta Hauptmanna błogosławi tę niezmierną ofiarę, skoro jest dla ojczyzny niezbędna.

My, którzy najmniej mieliśmy w tej wojnie, jako naród, do stracenia, a zato wszystko mamy do zdobycia, powinniśmy na doległości dnia powszedniego mocniej i wytrwalej od innych zaciskać zęby. Szacunkiem dla ofiar cudzych, stwierdzimy gotowość do ofiary własnej, która rychło zapomnieć nam każe o przemijających krzywdach wobec usunięcia tej krzywdy jedynej, która była naszą krzywdą największą. Spotkanie się aspiracji polskich, niesionych przez Legjony Polskie, z armjami Dwuprzymierza, nie jest spotkaniem przypadkowym. Punkt tego spotkania stanie się centralnym węzłem historji. Niemcy zbyt wiele krwi swej wylały, aby jej nie miały nadewszystko w tej i w przyszłej wojnie cenić i oszczędzać. Na tym naród polski ma prawo opierać swe przeświadczenie o wartości tego przymierza, w jakim obok nich stanąć chce z orężem w dłoni przeciwko wspólnemu wrogowi — w imię wspólnych podstaw i źródeł kultury zachodniej oraz wspólnego interesu politycznej przyszłości. Dla Niemców wojna z Rosją w obecnej fazie zaczyna być już wojną kolonialną, tak daleko od ich podstaw operacyjnych się odsunęła. Ale dla armji polskiej, walczącej o terytorjum dla niepodległego państwa, by-

łaby ona walką o byt, walką na śmierć i życie. Miałaby swą podstawę operacyjną w każdej polskiej skibie, w każdej kropli krwi polskiej.

* * *

Dziś wysuwa się jeszcze dużo przeszkód ku urzeczywistnieniu tej myśli; lecz otuchą napawa każdego Polaka wiara, że przeszkody te płyną nie z głębin życiotwórczych obu narodów, ale z powierzchownych wyrachowań i obaw. W świecie myśli politycznej niemieckiej idea niepodległego państwa Polskiego, jako budowy, o którą rozbijać się będą fale rosyjskiej żarłoczności, zdobywa sobie coraz szersze prawo uznania. W Polsce próbę tego, do jakich wyżyn urasta pod sztandarem niepodległości Polak w wojnie przeciw Moskwie, dały Legjony. To wszystko, co w obu narodach oddycha zwycięstwem, co walczy i buduje, spotkać się musi rychlej lub później pod znakiem Konstytucji 3-go Maja: pod znakiem niepodległego państwa Polskiego i wojny przeciwko wschodowi, w zbrojnym oparciu o Zachód. Prawda dziejowa, tłumiona w ciągu półtora stulecia, zrywa nareszcie tamy obłudy, fałszu i małości: woła powodzią krwi z pobojowisk wschodu i zachodu; woła polami trupów; woła z oparów zgrozy i przerażenia o wielkość myśli i majestat czynu.